ŁOWIEC POLSKI

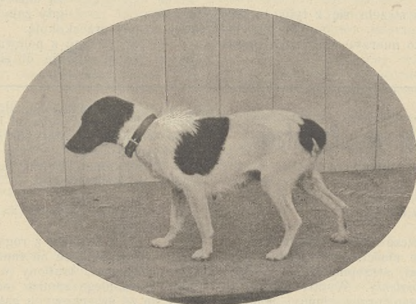
Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 132.

№ 18. | Warszawa, 3 (16) września 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.

WYSTAWA PSÓW



„Yola".

Foxterrier ostrowłosy (medal złoty od warszawskiego Oddziału i srebrny żeton od Oddziału Ryskiego). Własność ks. Czetwertyńskiej.

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, odznaczona 1-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.)

(Ciąg dalszy).

Psa należy blizko siebie trzymać, aby krótko strychował, t. j. aby blizko wystawiał.

Co do pory dnia, to zając wytrzymuje najlepiej między 12-tą a 3-cią po południu. Przy polowaniu kierować się zasadą, aby je zaczynać od granic ku środkowi terytoryum; pola przeszukiwać w poprzek zagonów, gdyż wówczas zając lepiej wytrzymuje.

Jeżeli pomkną razem dwa zające, to strzelać do pierwszego, gdyż drugi zazwyczaj jest samicą.

Z wyżłem posuwać się zawsze pod wiatr.

Jeżeli zająca wypatrzy się w kotlinie, to nie przystawać, gdyż zając w tej chwili pomyka, ale należy iść dalej w obranym kierunku, następnie obłożyć go, czyli obejść, i z odpowiedniej odległości strzelać z innej strony. Do zająca w kopnie będzie strzał wówczas usprawiedliwiony, jeżeli go młody wyżeł wystawi, a to dlatego, żeby mu nie dać sposobności do ścigania; dorodny wyżeł, kiedy oznaczy zająca, może go następnie wypchnąć, t. j. ruszyć z kotliny.

W trawach zając zazwyczaj wytrzymuje tak, że minąć go można i wcale nie ruszy, w takich razach należy co pewną odległość przystawać, a jeżeli wówczas jest zając w pobliżu, to napewno pomknie.

Co do strzału, to zachować w pamięci następujące, krótkie uwagi:

1) Jeżeli do zająca strzela się z tyłu, to mierzyć między uszy.

2) Jeżeli z przodu, to mierzyć nieco niżej przed zająca.

3) Jeżeli z boku, to stosownie do odległości, zakładać przed niego na pół długości i więcej. Na odległość 60-ciu kroków trzeba zakładać przynajmniej na dwie długości zająca.

4) Jeżeli zając idzie ku nam skośnie, co zwykle nazywamy „na kulawy sztych", to brać nieco przed i nieco pod niego.

5) Ostatecznie, jeżeli zając ucieka skośnie, brać nieco górą i przed nim.

W polu zastać można zająca najprędzej w czas pogodny, po długotrwałym deszczu, lub gdy po okiści nastąpi odwilż lub deszcz.

Zając w polu dobrze wytrzymuje, jeżeli dnia poprzedniego było polowanie w sąsiednim lesie. W lesie siedzi zając płytko, prawie bez kotliny, i na śniegu łatwo go wypatrzeć. Gdy śnieg jest miękki i niema mrozu. dobrze wytrzymuje.

Polowanie z psami nastręcza wprawdzie wiele przyjemności, ale płoszy bardzo zwierzynę. Jest to najstarsza metoda polowania, obecnie jeszcze na Litwie i Polesiu, a także w górach używana i uzasadniona; w górach bowiem, polowanie z naganką jest bardzo utrudnione.

Do tego polowania są specyalne, gończe psy (czarne, podpalane), które, dostawszy się na trop, czyli odwiatr, nie schodzą z niego i zwykle tak długo gonią, aż wreszcie zwierz wyjdzie na myśliwych, lub myśliwi, kierując się głosem psów, podbiegają na znane, a nieobstawione przesmyki i tam, kiedy zwierz przebiega, strzelają. Dobrze tresowane psy upolowanej zwierzyny nie szarpią (co prawda, rzadko to się zdarza i zwykle, jak dopadną zająca, to go zaraz roz-ćwiartują!) i tak długo przy niej głoszą (szczekają), aż myśliwi do nich dojdą.

Prawdziwy myśliwy z chartami nie poluje. Dla hodowcy i miłośnika zwierzyny, szczucie nie sprawia przyjemności.

Ponieważ jednak u nas, w kraju, i dzisiaj jeszcze polowanie z chartami jest dosyć rozpowszechnione, podaję krótko główne zasady tego polowania:

1) Nie szczuć za daleko.

2) „ „ za dużo (3 do 4 zające).

3) „ „ gdy zając idzie naprzeciwko, gdyż łatwo go psy przeskakują.

4) Nie wracać z polowania bez zwierzyny, psy bowiem tracą zaufanie do siebie i mogą się zepsuć,

---

Sceny myśliwskie w „Popiołach".

Zestawił **J. O.**

(Ciąg dalszy).

Młody myśliwiec jeszcze przez czas pewien leżał na ziemi, pękając ze złości. Po chwili jednak zerwał się na równe nogi, strzepnął śnieg z siebie, odszukał w krzakach *pojedynkę*. Wytarł oczy i, na podobieństwo sarn, skacząc przez choiny, pomknął na dół.

W odległości kilkuset kroków, stał nad zabitym rogaczem ogromny chłop w krótkiej, brunatnej sukmanie i oglądał uważnie swoją małą fuzyjkę.

— Zabiliście, Kacper — szepnął Rafał, zdyszany od biegu.

— Ij... tak mi się tu nawinął... Sam nawet nie wiem, jako to być mogło. Myślałem *se*, że tego kozielka to przecie jaśnie panicz położy.

— A kiedy nie wyszły na mnie... — rzekł Rafał, czerwony, jak burak.

— O, hery! Widzicież wy, moi ludzie... A na to miejsce przecie wagę miały. Nic wyszły i pokój! A już to pod tym bukiem niejeden wygarnął. Czasem to tam nawet dłużej przystaną i wezmą szukać wrzosu, abo chwycą wargami, ile zdolą, młodych koniuszków jedli. Poszły sobacze bokiem... — mówił stary wyga, wlepiając z jawnym śmiechem w młodzieńca swe wypełzłe oczy.

W tej samej chwili jeszcze raz odezwał się w dole niecierpliwy głos:

— Na — hoho!

— O, nasz pan woła! — z trwogą mruknął Kacper.—Chodźwa.

— A cóż zrobicie z rogaczem?

— Trza go brać na ramię, tylego konia!...

Zabity sarn, trafiony w samo serce, leżał martwy. Dokoła niego zamróz odtajał i krople wody sączyły się ze świerkowych gałęzi. Pyszna jego głowa, rzucona bezwładnie, patrzała w Rafała umarłemi oczyma. Młodzieniec uczuł nagle poryw wściekłości, chwycił za kordelas, który miał przy sobie, i byłby zadał zdechłemu zwierzęciu cios jeszcze jeden, ale już strzelec podsadzał się pod nie. Dowlókł rogacza do sąsiednich wykrotów, dźwignął go w górę i, ująwszy rękoma po dwie jego nogi, zarzucił sobie na plecy to brzemię ze zdumiewającą siłą. Poszli na dół. Co chwila nogi ich zapadały w szczeliny, między złomami brył kamiennych, w rumowiska stoku góry pod mchem ukryte. Rozwalili zgniłe pnie, miękkie, jak ciasto, o próchnie rudo-zielonem od pleśni. Skomlenie psów w zagajnikach na dole wskazywało im drogę. Rafał, wielkiemi kroki postępujący przodem, ujrzał wreszcie wuja. Chudy szlachcic, niewielkiego wzrostu, siedział

to znaczy, że nawet za blizko wymkłym zającem nie pójdą.

5) Nie używać chartów częściej, niż dwa razy na tydzień.

Stary zając, który już może nieraz chartom umknął, zna się więc na sztuczkach, któremi pewnie chartom ujść może, nazywa się w języku myśliwych „graczem“.

Dobry chart powinien być silny, szybki w biegu i musi umieć łapać. Po polowaniu należy psy przeprowadzać, aby się wysapały i dłuższy czas nie dawać im jeść (żarcia).

(C. d. n.)

Wielkie psy pasterskie.

Rasy powstałe z krzyżowania.

(Ciąg dalszy).

5. Psy leonbergskie *).

Rasa ta, niedostatecznie dotąd ustalona, nie jest bynajmniej starą, niemiecką rasą psów górskich, za jaką ją podają niemieccy handlarze psów, lecz niejako boczną gałęzią wytworzonej na nowo, rasy bernardyńskiej. Przy wytwarzaniu jakiejś nowej lub wznawianiu dawnej rasy, za pomocą krzyżowania z innemi, znaczna ilość szczeniąt, nieodpowiadających zamierzonemu typowi, musi być (brakowaną. Z początku zaledwie mała ilość produktów krzyżowania daje się użyć do dalszego rozpłodu, następnie, przy umiejętnym doborze, ilość szczeniąt, podlegających wybrakowaniu, coraz bardziej się zmniejsza, lecz jeszcze w ósmem, a nawet dziesiątem pokoleniu, wyradzają się czasem szczenięta, niepodobne do przyjętego typu. To samo było i być musiało przy wytwarzaniu nowej rasy bernardyńskiej, której powstanie opisałem w poprzednim rozdziale. Wtedy jeden z wirtemberskich hodowców s. bernardów, niejaki p. Egger, powziął myśl, dla niego bardzo szczęśliwą i korzystną, sprzedawania takich właśnie wybrakowanych z pomiędzy nieustalonych jeszcze s. bernardów, psów, jako przedstawicieli dawnej, wznowionej przez niego rasy górskiej, nazwawszy ją leonbergską. W owym czasie, przy rozpowszechnionem zamiłowaniu do psów wielkich, znalazło się wielu amatorów, nie dbających o cechy rasowe, lub też niemających o rasach żadnego pojęcia, a poszukujących tylko psów wielkich i ładnych, którzy chętnie kupowali te mniemane leonbergi, jako tańsze od s. bernardów. Wkrótce i dwa inne, wielkie, niemieckie zakłady hodownicze poszły za przykładem p. Eggera i leonbergi, różnych typów, rozpowszechniły się w Niemczech, w Rosyi i u nas. Kiedy na pomniejsze wystawy w Niemczech, w celu zwiększenia liczby eksponatów i obrotu pieniężnego, zaczęto przyjmować leonbergi, pomyślano też o ujednostajnieniu typu i w tym celu ustanowiono cechy, jakim nowotworząca się rasa, powinna odpowiadać. To też w ostatnich czasach ogólny typ psów leonbergskich znacznie się wyrównał i można się spodziewać, że przy starannym doborze i wytrwałości, nowa rasa ustali się dostatecznie. Dotąd jednak cztery najgłówniejsze towarzystwa kynologiczne, niemieckie, ani żaden z klubów angielskich, francuskich lub belgijskich, nie uznały leonbergów za rasę ustaloną, nie poddają ich na swych wystawach ekspertyzie i nie nagradzają. Towarzystwa: moskiewskie i petersburskie do roku zeszłego przyjmowały na wystawy leonbergi, łącząc je czasem z s. bernardami, to znów tworząc z nich osobny oddział pod nazwą psów górskich. Od roku zaś zeszlego, na wniosek kilku wybitnych członków, postanowiono, za przykładem wielkich towarzystw zagranicznych, nie uznawać leonbergów za rasę ustaloną. Cechy typowe, przyjęte przez niemieckich hodowców dla nowo-tworzącej się rasy, są następujące.

Wygląd ogólny. Psy wielkie, z głową i korpusem o pięknych proporcyach, ruchami swobodnemi, pięknem uwłosieniem i maści, przyjemnej dla oka.

*) Niektóre podane tu szczegóły o psach leonbergskich były już pomieszczone w „Łowcu Polskim“ z r. 1903, w artykule „Z powodu warszawskiej wystawy psów“. Zmuszony jestem powtórzyć je tu dla całości obrazu. *(Przyp. autora)*

---

w kucki nad sarną i patroszył ją. Skrwawionemi rękoma wyrywał dymiące jeszcze wnętrzności i ciskał psom. Gdy nadeszli, pan Nardzewski obejrzał się złowrogo na strzelca, zmierzył okiem rogacza i zlekka, sepleniącym głosem zauważył:

— Toś, kundlu, kozła musiał dla siebie zostawić...

— Ale bo...

— Nie widziałeś, prawda? że ja tu czekam na stanowisku. Gdzież byś ty o takich rzeczach mógł pamiętać! Żebym ja kozy po tobie strzelał, chamska szyjo!

— Ale, bo szły jakosi krzywo...

— Krzywo szły od buka!... Łżesz!

— Jeszcze, rzekę, psiedusze wiatr owieje. Wiatr szedł od Klonowa, akuratnie. Takem se ozmyślał...

— Jak ja ci dam ozmyślanie, to się nogami nakryjesz! Kładź kozła! A cóż ty, Rafciu, jakoś nic nie niesiesz z Łycicy? — łaskawie zwrócił się do siostrzeńca.

— Nie wyszły na mnie. Słyszałem tylko, że walą za drzewami, aż ziemia stękała.

— Ts... Nie przeszły koło wielkiego buka... Słyszane rzeczy!... Patrosz...—mruknął do strzelca.

Gdy ten otwierał mały składany koziczek, wiszący u jego pasa na rzemyku, Nardzewski spytał go opryskliwie:

— Skądżeś strzelał?

— A z pod znaczonej jedli, kaj-em stał. Wylazł mi sarn pod lufę, jakby go tam pastuch przygnał. Jeszcze ta była ścięta jedla, okrzesana, to se stanął, ma li skoczyć.

Po dłuższej rozmowie, którą tu pomijamy, chłop przystępuje do opowiadania o „świętym jeleniu“. Wspomina zatem:

— Tu my takie stada dzików gonili, jelenie my płoszyli z Cisowskich lasów aż po Sikierno... Ile razy ja tu, na Łysicy, niedźwiedzia widział, jakem jeszcze był małym berbeciem! Aby to jest *dźwierz piekny* — niedźwiedź. Abo jeleń... Mocny Boże! Jak rogi położy po sobie, jak lasem pójdzie — okropnie pieknie patrzeć! Aby tylko na świętego nie trafić... Panie zachowaj-że też...

— Jak to na świętego? — dopytywał się Rafał.

— A to widać paniczek nic wie o naszym jeleniu... — mruknął strzelec niechętnie.

— Nie wie, skoro się pyta — rzekł Nardzewski.

— Ludzie gadają tacy, co widzieli...

— Który widział?

— A Łakomiec widzieli. Powiadają to samo o starym Szafrańcu, co miał ze sto lat, abo więcej, że go to samo ślepiami widzieli.

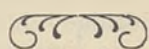
— Jakże to było?

Chłop spoglądał posępnie i zwlekał.

— Łakomiec nama gadali i zaprzysięgli się. Wyszli, pedają, ze swoją fuzyjczyną i stanęli na stanowisku, jak ogary p. krajczego, Olchowskiego...

U psów tych, z wyjątkiem dużego wzrostu, wszelka przesada jest wyłączona. (Od siebie dodać mogę, że psy leonbergskie, najbardziej zbliżone do zamierzonego, idealnego typu, daleko mniej zdradzają domieszkę krwi new-foundlandów i dogów, niż obecne s. bernardy. Przeciwnie, więcej typem przypominają psy pyrenejskie, od których pochodziły dawne psy klasztorne. Służyć to może jako potwierdzenie prawa, odkrytego przez Darwina, że przy krzyżowaniu ras różnego pochodzenia, często wyradzają się osobniki, przypominające oddalonych przodków jednej z ras krzyżowanych).

(*Dok. nast.*)



PUMA, CZYLI KUGUAR.

(Felis concolor).

(*Ciąg dalszy*).

Przed kilku laty, mieszkając jeszcze w południowej Ameryce, wyczytałem w angielskich gazetach o charakterystycznym wypadku z pumą w menażeryi. Właściciel wyprowadził ją z klatki i spacerował z nią wśród ogromnego tłumu publiczności. Nagle puma zatrzymała się, wpatrując się uporczywie i z oznakami silnego zaniepokojenia, w jakiś przedmiot pomiędzy publiką. Następnie, szarpnąwszy silnie w tył, wyrwała łańcuch z rąk właściciela i rzuciła się w tłum, który rozbiegł się z krzykiem na wszystkie strony. Lecz strach okazał się płonnym; przyczyną wściekłości pumy był pies, którego wypatrzyła w tłumie.

Mówią, że dorosła puma, schwytana żywcem, prędko słabnie i zdycha w niewoli. Lecz schwytana młodo, prędko staje się figlarnem i przywiązanem zwierzęciem domowem, bardzo łaskawem względem ludzi, lecz rzadko mogącem pokonać wrodzoną nienawiść względem psów.

W Saladilla, jednem z miasteczek, położonych wśród pampasów, słyszałem o bardzo rzadkim wypadku samoobrony pumy przed człowiekiem. W czasie mego pobytu, miejscowość ta obfitowała w jaguary i pumy, skutkiem czego mieszkańcy zarzucili zupełnie hodowlę owiec i utrzymywali wyłącznie świnie, jako mogące w gromadzie bronić się same od drapieżników. Jeden z tamtejszych gauchosów do tego stopnia wyróżniał się śmiałością i zręcznością w zapasach z jaguarami, że wybierano go, za ogólną zgodą, na kierownika wszystkich polowań na dzikie zwierzęta. Pewnego razu naczelnik owego okręgu, w towarzystwie kilkunastu ludzi, a między nimi i wspomnianego gauchosa, urządził wyprawę na jaguara, widzianego w bliskiem sąsiedztwie jego domu. Bardzo prędko znaleziono i otoczono zwierza; lecz ponieważ zaczaił się on w bardzo gęstej trawie i zarzucenie lassa było bardzo trudnem, poruczono tę niebezpieczną operacyę znakomitemu myśliwcowi. Rozwinąwszy swe lasso, zaczął on wolno podjeżdżać ku jaguarowi, lecz właśnie w tej najważniejszej chwili popełnił mimowolny błąd, pozwoliwszy swemu wystraszonemu koniowi zwrócić się bokiem do jaguara. Ten skorzystał natychmiast z położenia, wyskoczył z zasadzki i jednym susem wskoczył na konia, a schwyciwszy myśliwca za ubranie, ściągnął go na ziemię. Bez wątpienia gauchos byłby rozszarpany, gdyby w tak krytycznym momencie lasso drugiego myśliwca nie okręciło się w około szyi jaguara. Zwierz był natychmiast dobity, lecz zawstydzony gauchos nie chciał już patrzeć na ten epilog walki. Nie był on raniony, lecz wiedział, że reputacya jego, którą cenił więcej, niż wszystko na świecie, na długo stracona i że towarzysze będą bez litości wyśmiewać go. To też, wskoczywszy na konia uciekł z miejsca, będącego areną jego hańby. I wtedy to właśnie zdarzył się z nim wypadek, w prawdzie bez postronnych świadków, ale któremu można dać bezwarunkowo wiarę z opowiadania samego myśliwego, jako odgrywającego w nim niezaszczytną rolę.

Nie zdołał on jeszcze odjechać mili (angielskiej) od miejsca spotkania z jaguarem i cały jeszcze kipiał złością, gdy spostrzegł pumę, jakby wyrosłą przed nim z gęstej trawy i zagradzającą mu drogę. Zwierzę nietylko, że nie miało zamiaru uciekać, lecz siedząc na ziemi, najspokojniej wpatrywało się w myśliwca. Przyszła mu wtedy odrazu myśl zabicia tego zwierzęcia i pomszczenia tym sposobem poprzedniego zawodu. W tym celu zsiadł z konia, spętał mu przednie

---

— Aha...—wtrącił Nardzewski.

— No, przecie nie ja stał, ino oni, choć ta już na Boskim sądzie. Panie świeć... Stoją se oto pode drzewem zcicha i czekają. Aże słyszą: *duch-duch*. Idzie. A dzień był wietrzny, ciemny. Idzie na dół, po kamieniach, a przed nim jakiesi światło, tak, jakby dodnia pod zimę, kiej słonie z lasu wychodzi. Zda im się pojrzeć ku niemu: widzą, idzie wolnego jeleń stary, wielki, jak koń cugowy, i okropnie piękny. Rogi położył... Wzieni go na oko, a prosto w łeb. Dopiero co się nie dzieje!.. Trzymają kolbę przy pysku i nie widzą jelenia, tylko światło, tak, jakby czerwone słońce wyszło z lasu i prosto im we ślepie lunęło. Strzelba im z rąk wypadła, a i samych łomot o ziemię. A jeleń poszedł kole nich, bokiem. Dopieroż zobaczyli, że miał między rogami krzyż złoty, i że z onego takie światło w las waliło.

— Duży był krzyż? — poważnie pytał Nardzewski.

— Biedyć-ta duży! Pasyjka niewysoka, ino gruba na dwa palce. Dopiero mój Łakomiec za lufę i w nogi co duchu! To ich jeszcze na trzeci dzień tarmosił strach, jak se wspomnieli, że oni do takiego gada chcieli wygarnąć... A jakby go też człowiek zabił... Rany!"

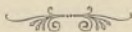
Po tej opowieści „strzelec upatrzył młodego świerka i począł go ścinać u samej ziemi małą siekierką, którą nosił za pasem. Okrzesał prędko gałęzie, ściął wierzchołek i przygotował drąg kilkułokciowy. Wówczas związał do kupy rzemiennemi pasami przednie i poślednie nogi dwu zwierząt i drąg ów między nie wsunął".

„Strzelec schwycił jeden koniec drąga, Nardzewski drugi; schylili się obadwaj i jednocześnie, jak na komendę, podnieśli zawieszone zwierzęta. Chłop szedł pierwszy. Koniec drąga był wparty w jego ramię. Niższy wzrostem, Nardzewski, dotrzymywał mu kroku, choć się zataczał w prawo i w lewo. Kiedy Rafał, palony żądzą współdziałania, dopominał się, żeby mu wuj miejsca ustąpił, szlachcic go ofuknął:

— Daj-no pokój! Pilnowałbyś strzelby...

Szli tak dość długo z góry, w kierunku klasztoru. Nie dochodząc do źródła świętego Franciszka, skręcono na lewo. Nardzewski ochrypłym głosem dał rozkaz, żeby stanąć, i wręczył siostrzeńcowi tak upragniony koniec *pawęzu*. Rafał z pietyzmem oparł go na ramieniu, ale w tej samej chwili zgiął się i przysiadł pod ciężarem. Doznał wrażenia, że mu w barach kości pękły. Ze ściśniętemi zębami, oddechem zapartym i twarzą brunatną od nabiegłej krwi, szedł jednak twardo, aż do drogi bodzentyńskiej. Tam go znowu zluzował stary myśliwiec.

(*Dok. nast.*)

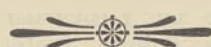


nogi i, wyjąwszy z za pasa długi i ciężki nóż, podszedł do pumy; lecz ta ani się nie poruszyła z miejsca. Gauchos wymierzył nożem cios z taką siłą, iż napewno przepołowiłby czaszkę, gdyby nóż trafił w naznaczone miejsce. Lecz puma bystrym ruchem uniknęła ciosu i w tej samej chwili, podniósłszy łapę, z szybkością błyskawicy uderzyła gauchosa po twarzy, zdzierając pazurami ciało ze szczęki aż do samej kości. Wymierzywszy tę straszną karę i popatrzywszy przez kilka sekund na leżącego wroga, puma odeszła, nie śpiesząc się. Ranny gauchos, nie mogąc liczyć na jakąkolwiek pomoc, wgramolił się sam na konia i powlókł do domu. Straszna rana na jego policzku i szczęce zagoiła się i przyszedł do zdrowia, lecz został na całe życie oszpeconym. Charakter jego także zupełnie się zmienił; zrobił się ponurym i chorobliwie drażliwym na najmniejsze żarty sąsiadów i nigdy więcej nie chciał należeć do wspólnych wypraw myśliwskich.

Rozpytywałem się naczelnika okręgu i innych tamtejszych mieszkańców, czy nie zdarzyło się kiedykolwiek w tej miejscowości, żeby puma okazała względem człowieka nietylko przyjacielsko bierne usposobienie. W odpowiedzi przytoczyli mi wypadek, jaki się zdarzył w Saladilla na kilka lat przed moim tam pobytem.

Wybrano się razu pewnego na polowanie sposobem, zwanym *cerco* (krąg). Myśliwi, w liczbie około trzydziestu, otoczyli step wielkiem kołem, a zbliżając się jednocześnie ku środkowi, spędzali przed sobą zwierzynę. Uniesieni myśliwskim zapałem i mając całą uwagę zwróconą na to, żeby nie wypuścić z koła strusi, jeleni i innej zwierzyny, nie zauważyli, że jeden z towarzyszów znikł. Nieobecność jego spostrzeżono dopiero wieczorem, gdy koń wrócił do domu bez jeźdźca. Następnego poranku ludzie, wysłani na poszukiwania, znaleźli niefortunnego myśliwca, leżącego ze złamaną nogą na tem miejscu, na którem koń zrzucił go w samem początku polowania. Opowiedział on, że poprzedniego wieczora, w godzinę po nastąpieniu zupełnego mroku, zjawiła się około niego puma, która usiadła blizko, lecz zdawało się, że nie zauważyła wcale ranionego. Po niejakim czasie puma zaczęła się czemś niepokoić, to odchodziła dalej, to powracała, nareszcie oddaliła się, jak myślał ranny, zupełnie. Około północy usłyszał on straszny ryk jaguara i uważał się już za zgubionego. Uniósłszy się nieco na rękach, zauważył w ciemności niewyraźne kształty zwierzęcia, zaczajonego w blizkości, lecz tyłem do niego; zdawało się, jak gdyby z natężoną uwagą wyczekiwało kogoś, z zamiarem rzucenia się. Następnie zwierzę to znikło, a myśliwy usłyszał wkrótce wycie i ryki jaguara i pumy; teraz wiedział on już, że drapieżniki walczą między sobą. Do świtu widział on jeszcze kilka razy jaguara, lecz puma za każdym razem rozpoczynała z nim walkę; kiedy się rozwidniło, obydwa zwierzęta zniknęły.

(C. d. n.).



Ze wspomnień starego myśliwego.

Polowanie na kaczki. Zarys ich natury i zwyczajów.

(Ciąg dalszy).

Kto zna błota lęgowe, wie z pewnością, że 10-go czerwca nie zobaczy tam ani jednego rycyka, bataliona, kulika, kszyka, czajki i t. d., czemużby kaczki miały być wyjęte z pod tego prawa. Różnica tylko pochodzi ztąd, iż powyższe ptaki niosą jaj mniej i siedzą krócej, ale za to kaczki przychodzą więcej jak na miesiąc wcześniej, a zatem półczwarta miesiąca jest chyba dostateczne do wychowania dorosłego potomstwa.

Na Podlasiu zastałem kraj zupełnie odmienny, niż dotąd widziałem. Zamiast przyjemnej, wzgórkowatej okolicy nad Wieprzem, z pięknemi, rozległemi widokami—równiny bez końca, błota, bagna, lasy i znowu lasy, bagna, błota. Narazie pomyślałem sobie, że tu chyba Kain Abla zabić musiał, tak mi się to wszystko dzikiem wydało. A jednak, jak się później przekonałem, była to miejscowość, mogąca dawać myśliwemu niezrównane przyjemności. Nie mogąc się narazie zoryentować, gdzie i czego szukać, wziąłem leśniczego, aby mię oprowadził po celniejszych miejscach. Przyszliśmy do ogromnego bagna z jego łozami, trzcinami, kępami, jeziorami w środku. Wszystko to tak strasznem mi się wydało, że gdyby nie stanowcze zapewnienie leśniczego, że tu najmniejsze nie grozi niebezpieczeństwo, nigdybym prawdopodobnie nie odważył się stąpić nogą w tę topiel. A jednak później po lęgowem błocie, jakie miałem, było mi najprzyjemniejszem do polowania. Najprzód, że w takich bagnach chodzenie nie było uciążliwe, woda po pas, rzadziej dochodziła do ramion, więc mi skwar słońca nigdy nie dokuczył; przytem najmniejszego niebezpieczeństwa, bo chociaż trafiają się takie błota, że zgruntować nie można, to zawsze jednak spad jest tak łagodny, że zupełnie od woli człowieka zależy pójść, albo nie pójść głębiej. Nie spotkałem też nigdy żadnych dołów, żadnych pułapek, w którychby się już utopić, albo skąpać można. Przedewszystkiem nęciła mię rozmaitość kaczek przy ciągłym widoku wyżła, bez którego polowanie mogło mieć dla mnie zaledwie połowę uroku. Ułożyłem sobie pewien system polowania, a mianowicie: zawsze zaczynałem od miejsca, gdzie były łozy lub trzciny, aby w nie nie napędzać ptactwa; potem chodziłem wpoprzek, zygzakiem, i tym sposobem przeszukiwałem całe bagno. Znalezione na środku, nielotne młódki brał pies pomiędzy kępami; takie same zaś znalezione blizko brzegu, wypędzał na ląd i tam dopiero chwytał po kolei. Kaczki lotne, czy to młode, czy stare, zbarczone, czy postrzelone, jeśli tylko pies idzie ciągle za niemi, zawsze na ląd wychodzą. Mowa tu głównie o krzyżówce, która nastraszona, płynąc rozpłaszczona po wierzchu wody, daje wiatr psu bez przerwy. Inaczej rzecz się ma z cyranką i resztą gatunków,— te ciągle chodzą nurkiem, kiedy niekiedy tylko wytykając dzióbek, zwietrzyć się nie dają i dlatego jedynie bardzo rzadko na ląd wypędzić je można. Na bagnach, gdzie woda dostaje przynajmniej do pasa, zawsze znajdują się wypióry, t. j. kaczki tak wypierzone, że latać nie mogą. Poczynają się pierzyć w maju, a są już zupełnie wypierzone w czerwcu i lipcu. Kaczor w tej porze, na pierwszy rzut oka, jest zupełnie do kaczki podobny; wierzch głowy ma tylko nieco ciemniejszy, ale łatwo poznać go po zielonym dziobie (krzyżówki) i jasnoczerwonych nogach. Dziwne jest zachowanie się wypióra, gdy wypłynie znienacka o kilkanaście kroków od myśliwego i nie okazuje najmniejszego przestrachu, płynie wolno z podniesioną głową w obranym przez siebie kierunku, aż niemiło strzelać do niego. Nic łatwiejszego, jak zapędzić wypióry w zakątek, zawczasu przez siebie obrany, a gdy spostrzegą, że mają odwrót przecięty, natychmiast wychodzą na ląd, skąd je wyżeł znosi po kolei. Młodych kaczek nigdy tak zapędzić nie mogłem. Na tyle moich polowań, raz tylko zabiłem wypióra—cyrankę; zachowanie się jego było zupełnie takie same, jak krzyżówki.

Drugi raz pierzą się kaczki we wrześniu i październiku, ale w tej porze nie tracą już lotek; kaczki, jak zresztą wszystkie inne ptaki, nie pierzą się np. w lutym lub marcu, natura bowiem sama wymaga, aby ptak, gdy przychodzi na niego pora parzenia się, był zupełnie wykształcony, a więc samiec w go-

dowe szaty przybrany. Kaczki wabią się dwojakim sposobem: raz na wiosnę, gdy kaczka chce zwabić kaczora, odzywa się raz, dwa, a po długim przestanku znów powtarza hasło, dopóki go nie zwabi, drugi raz przez ciąg całego lata, gdy spostrzeże na brzegu wilka, psa i t. p., wtedy wydaje głos trwogi; czy zdziwienia, odzywa się kilka razy, raz po raz, w małych odstępach; na ten krzyk płyną wszystkie, w blizkości będące, bez różnicy, czy kwakają, jak krzyżówka, czy też i takie, co zupełnie odmienny głos wydają. Tego drugiego sposobu używałem zawsze z powodzeniem, bez względu, czy to było na wiosnę, czy później. Sposób ten ma tę wyższość nad poprzedzającym, że skraca czas, a kto umie wabić ustami, naśladując dwie, trzy kaczki odrazu, ten tembardziej skrócić go może i tem większą liczbę z ukrycia wywabia.

K. Dębicki.

(*C. d. n.*).

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Jakiś Botańczyk w lisiej czapce z uszami, zupełnie do Mongoła podobny, szczególnie mnie zajął. Myśliwy był widocznie i korzystając z dnia targowego, przyniósł do miasteczka zdobycze swych łowów. Na plecach miał przewieszonego piżmaka (Moschus moschiferus), w torbie jakieś dziwne, rude zwierzę, do niedźwiadka podobne, po angielsku catbear (Katzenbär, Ailurus fulgens) zwane, i dwa cudnie upierzone ptaki (Lophophorus impeyanus), które, o ile z długiej z nim rozmowy, naturalnie na migi prowadzonej, zrozumieć mogłem, zamieszkują śnieżne regiony Himalajów.

W Dardżilingu mieszka niejaki pan Möwis, z Berlina rodem; od kilku lat w górach przebywając, trudni się zbieraniem motyli i owadów krajowej fauny dla europejskich muzeów. Himalaje zawierają najbogatszy zbiór lepidopterów, jakie widzieć można, i po Brazylii pierwsze w tym względzie zajmują miejsce. Za samiczkę jakiegoś rzadkiego motyla płacą mu w Londynie 15 funtów szterlingów za sztukę i widocznie nieźle wychodzi p. Möwis na motylim interesie, gdyż stawia sobie obecnie piękną willę, w której zamierza urządzić muzeum zoologiczne, tak bogatej, a dotąd nalezycie niezbadanej fauny himalajskiej, oraz zbiór etnograficznych ciekawości Tybetu i okolicznych krajów nad chińską granicą. Pokazywał mi wiele ciekawych okazów rzadkich ptaków i zwierząt, między innemi, dziwnie ubarwione i tylko w śniegach wysokich szczytów żyjące, tak zwane krwawe bażanty (Ithaginis cruentus), tudzież dwie skóry z rogami ze świeżo ubitych jeleni tybetańskich (Cervus affinis), jakoby pierwsze znane okazy tego gatunku cerwidów, których, jak mówił, żaden Europejczyk dotąd nie ubił i żadne muzeum nie posiada, zwierzę to zamieszkuje bowiem tylko północne stoki Himalajów w niedostępnym Tybecie.

Z Dardżilingu, leżącego na północnym krańcu anglo-indyjskich posiadłości, kilkadziesiąt kilometrów zaledwie do granic Tybetu, tego ciekawego, osłoną tajemnicy okrytego kraju, którego dotąd żaden podróżnik do głębi nie zbadał. Chociaż dzisiaj niema już tej trudności w przekroczeniu granic Tybetu, co dawniej z niebezpieczeństwem życia było połączone, jednak rząd Dalajlamy dotąd uporczywie zabrania wstępu europejskim handlarzom i cudzoziemców do kraju nie dopuszcza. Rząd angielski dokłada wszelkich starań, by handlową drogę do Tybetu utorować i właśnie w tej chwili toczą się w Dardżilingu dyplomatyczne układy między angielskim komisarzem a chińskim delegatem, z Pekinu przybyłym; Tybet bowiem stanowi prowincyę, choć prawie niezależną, chińskiego cesarstwa. Widziałem tego dygnitarza niebieskiego państwa: ogromnej tuszy personat, w palankinie po ulicach nosić się każe. Oficyalnie, treść konferencyi stanowią graniczne spory o tak zwane terytoryum Sikkim, w gruncie rzeczy jednak Anglikom chodzi o otwarcie drogi handlowej do Tybetu, do Lhassy, by z jednej strony stworzyć w ten sposób nowe źródło odbytu dla produktów Anglii, z drugiej zaś zmonopolizować cały handel wywozowy Tybetu, dotąd jedynie na północ, to jest do Chin, dokąd granice otwarte, drogę obierający. Topograficznie jest to wskazane, nie leży jednak w interesie Chin, natrafia na niechęć Tybańczyków i upór lamów i wątpić można, czy zamiary Anglików tak prędko urzeczywistnić się dadzą.

Gdyby w przyszłości do tego przyszło, Dardżiling, koleją połączony z Kalkutą, nabierze niemałej wagi, jako punkt handlowy i bodaj czy Anglicy, budując owę fantastyczną kolej górską, jedynie wygodę turystów mieli na względzie. Po zwiedzeniu bazarów, świątyni Budhy, po południu wdrapaliśmy się na pobliską górę „Tiger-Hill“ zwaną, chociaż tygrysów tam niema, skąd widok na niebotyczny szczyt Ewerestu (29,000′) w całej okazałości się przedstawia.

Wieczór przyjemnie minął na pogadance z p. Möwisem, przy kominku, z którego buchał wesoło ogień drzewa rododendru; pierwszy i ostatni ogień na kominku, jaki widziałem w Indyach. Klimat Dardżilingu nadzwyczaj przyjemny, jak u nas we wrześniu lub końcu sierpnia; w dzień gorąco, wieczory i ranki chłodne, noce wręcz zimne. Z żalem pożegnaliśmy nazajutrz uroczą, górską miejscowość i świeże alpejskie powietrze i 25 rano stanęliśmy z powrotem w Kalkucie.

Dzień przeszedł na zrobieniu kilku ostatnich sprawunków i złożeniu paru pożegnalnych wizyt. Lord Beresford wspomniał mi przy tej sposobności, czy nie chciałbym po pobycie w Goonie do Hayderabadu w południowych Indyach zrobić wycieczki. W tym celu przyrzekł postarać się o ułożenie w tamtych stronach jakiego polowania i o rezultacie swych starań miał mi do Goony donieść.

26 wieczorem wyruszyliśmy wreszcie w drogę, z całym taborem bagażów, pakunków i tobołków różnego gatunku i rodzaju. Ujemna to strona każdej ekspedycyi myśliwskiej, lecz gdy się ma strzelby, gotowe ładunki, łóżka polowe, prowianty, aparat fotograficzny z kilkoma tuzinami płyt, wreszcie niezbędne ubrania, rzecz to nie do uniknienia.

Jako broń, miałem dwa ekspresy Springera, kal. 500, jednę strzelbę od Lancastra systemu Colindian, strzelającą równie dobrze śrótem i kulą, wreszcie gruby sztuciec kal. 10, o ogromnym naboju prochu i kuli, jak do małej armatki. Tyle się nasłuchałem od Anglików w Indyach, że kal. 500 ekspresa ze średnim nabojem prochu do moich sztućców zastosowanym, na tygrysy niedostateczny, że zdecydowałem się na wszelki wypadek, gruby kaliber w Kalkucie u Mantona nabyć.

27 wieczorem przerywamy podróż, by zwiedzić po drodze leżące miasto Agrę, jednę z najwięcej godnych widzenia miejscowości w całych Indyach. Niegdyś stolica potężnego państwa wielkich Mogołów, rezydencya cesarzy z dynastyj mogolskich, ze środkowej Azyi przybyłych, potomków Tamerlana, pełną jest Agra zabytków i pamiątek ze świetnych czasów cesarzy Akbara i Szach-Dżchana. Dziś wszystko w ruinie: z upadkiem mongolskiego cesarstwa w Indyach

w XVIII wieku, rozpadły się pyszne pałace i wspaniałe rezydencye; w murach dawnej fortecy cesarza Akbara, wznoszącej dumnie swe ponure, ciemne ściany nad brzegiem rzeki Dżumny, żołnierz angielski na warcie się przechadza, pilnując angielskiego fortu, wśród gruzów upadłej potęgi azyatyckich władców. Na każdym kroku spotyka się ślady minionej świetności. W opuszczonej rezydencyi dawnych cesarzów lśnią się marmurowe komnaty od kryształów i drogocennych mozaik, w sali tronowej wznosi się dotąd złoty tron na posadzce z białego i czarnego, w szachownicę ułożonego, marmuru, gdzie cesarz Akbar ze swym błaznem nadwornym w szachy się zabawiał, używając do swej gry ulubionej uroczych bajader zamiast martwych pionów. Wiara Mahometa góruje tu nad kultem Brahmy. Marmurowe kopuły tak zwanego Meczetu pereł, który raczej na miano perły pomiędzy meczetami zasługuje, jaśnieją wśród ciemnych murów dawnej fortecy; ni Bagdad, ni Stambuł, ni Kair nie posiadają również wspaniałej świątyni, będącej zarazem najpiękniejszym zabytkiem indo-saraceńskiej architektury. Lecz wszystko niknie wobec świątyni Tadż-Mehul, którą cesarz Szach Jechan w XVII wieku, jako grób i mauzoleum dla zmarłej swej małżonki wystawił. Dwadzieścia tysięcy rąk pracowało kilka dziesiątków lat około tej pysznej budowy, a stare kroniki wspominają o niesłychanych bogactwach klejnotów i drogich kamieni, które wszystkie kraje i prowincye potężnego państwa swemu panu i władcy niosły w dani dla upiększenia tego „cudu Hindustanu".

Nie Hindustanu, lecz świata cudem tę budowlę nazwać można, gdyż zaprawdę nigdy, na całej kuli ziemskiej piękniejsze dzieło z rąk ludzkich nie wyszło.

Na szafirowem tle wschodniego nieba, wśród róż i jaśminów, drzew ślicznie kwitnących, w ciemnej zieleni cyprysów, wznosi się Tadż-Mehul na tarasie z różowego marmuru, jak jasny dyament w kwiatów bukiecie, cały z białego, jak śnieg, przezroczystego jak alabaster, rzeźbionego jak koronka, marmuru, bez skazy ani plamki, w blasku drogich kamieni, któremi w najpiękniejszej mozajce zewnątrz i wewnątrz jest wyłożony, jakby nadziemskie zjawisko z tysiąca i jednej nocy.

Jeżeli trudno opisać jak wygląda sam gmach, tem trudniejszem jest oddać to uczucie zachwytu i podziwu, jakie każdego ogarnia na widok tego, jak go ktoś nazwał, „poematu z marmuru". Na mnie przynajmniej żaden gmach lub świątynia, którą gdziekolwiek w życiu widziałem, nie wywarła większego wrażenia wspaniałością, jakby nadziemskiego zjawiska, a zarazem prostotą stylu. Widząc Agrę i jej zabytki, ma się wrażenie dawnego Oryentu średnich wieków, o bajecznym przepychu azyatyckich władców, ich despotycznych fantazyach i kolosalnych bogactwach, które tylko sny pierwszej młodości w rozbudzonej wyobraźni odmalować potrafią, a których ślady na każdym kroku się tutaj spotyka.

28 wieczorem, po kilku godzinach jazdy koleją, przybyliśmy do Gwalioru, celu naszej podróży. Na dworcu oczekiwał nas major Barr i na mieszkanie do swej willi zaprosił.

(C. d. n.).

Z PILAWINA.

Donoszą nam z Pilawina, wielkiego zwierzyńca hr. Józefa Potockiego w lasach jego Piszczowskich, w gub. wołyńskiej, że ruja łosi i jeleni zamorskich zupełnie prawidłowo się tam rozpoczęła.

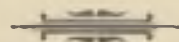
Łosie—byki już od końca sierpnia okazywały chęć do rui, jelenie zaś, Wapiti amerykańskie, Marale syberyjskie i mandżurskie, rozpoczęły rykowisko nieco wcześniej, niż termin europejskich jeleni na to wskazuje.

Sam właściciel, bawiąc ostatniemi czasy w Pilawinie, miał sposobność obserwować ryk jeleni Wapiti: jest to przeciągły i niezmiernie donośny gwizd, przechodzący w nader dziwne i niedające się określić tony, czasem piskliwe, czasem głos syreny okrętowej przypominające. W sierpniu widziano również kozły syberyjskie „Pygargus'y", uganiające się za kozami—sarnami. Jest więc nadzieja, że i w tym rodzaju zwierzyny nastąpi upragniona poprawa rasy krajowej sarny.

Wspaniały byk—Marał syberyjski trzyma się na uboczu ze swym haremem maralek, raz tylko na uroczej polance leśnej przyszło do starcia z równie potężnym bykiem amerykańskim, ale wina tego pojedynku, bezkrwawego zresztą, nie ciąży bynajmniej na kokieteryi, łań dotyczących, bo trudno sobie wystawić ściślej odosobnione grupy poszczególnych „koteryj", niż właśnie w Pilawinie.

Jeleń Dybowski *(Cervus Dybowskii)* trzyma się skromnie ze swą jedyną towarzyszką, która, ku wielkiej radości właściciela, uszczęśliwiła Pilawin niespodzianym przychówkiem, poczętym jeszcze w Hamburgu u Hagenbecka, a zrodzonym w Pilawinie w ciągu lata bieżącego roku. Łosi, urodzonych na miejscu w Pilawinie, jest już troje i dziwnym zjawiskiem jest, że młode znacznie są dziksze od własnych rodzicielek, które od ludzi nie stronią, podczas gdy młode uciekają na widok człowieka.

Z każdym dniem wzmaga się niezwykły urok „Pilawina", który żadnemu innemu zwierzyńcowi niepodobny, stanowi chyba „unicum" swego rodzaju na kontynencie europejskim.



ILE JEST KOZIC W POLSKICH TATRACH?

W sprawie powyższej, nader ciekawej, otrzymuje „Łowiec" lwowski list następujący:

W korespondencyi z Wysuczka, dnia 30 grudnia 1903-go roku, umieszczonej w „Łowcu", strona 21 i 22, pisał J. W. Czarkowski-Golejewski, że kozica na naszej stronie należy do rzadkości i że za czasu jego pobytu w Nowotarszczyźnie było policzonych sześć sztuk, dalej pisze, mówiąc o Zakopanem, tam dzisiaj głuszec rzadkością. Ażem podskoczył z oburzenia, czytając to; czekałem jednak cierpliwie z odpowiedzią, prosiłem hr. Zamoyskiego, oraz Witolda Uznańskiego o zbieranie przez zimę odpowiednich dat do obliczenia ilości kozic i dopiero teraz, mając już całkiem dokładne dane, odpowiadam.

Że odpowiadam, to przedewszystkiem uważam za mój obowiązek, jako delegat na powiat nowotarski, bronić dobrej sprawy łowieckiej naszych Tatr, a powtóre powołuje się J. W. korespondent na swe stanowisko, jako starosta w Nowymtargu, i na pobyt w Zakopanem; nadaje to korespondencyi charakter półurzędowy i może wprowadzić w błąd ludzi, którzy to przeczytają. Właśnie stanowisko starosty przeszkadza do dowiedzenia się prawdy, a dodatek o skórze z kozicy, przyniesionej przez kłusownika, tłómaczy główne pochodzenie tych informacyj. W to, że góral nie strzela kozic na polskiej stronie, tylko na węgierskiej, uwierzy, oprócz szanowanego korespondenta, prawdopodobnie jeszcze jaki warszawiak, ale nikt, ze stosunkami łowieckiemi w Tatrach obznajmiony, na to się nie zgodzi. Kłusownik tam idzie po kozicę, gdzie ją najłatwiej, najdogodniej i najbezpieczniej dostać może. Jeżeli się już wybierze na węgierską stronę, to w najrzadszych wypadkach do księ-

cia Hohenlohego, a to z następujących powodów. Książę Hohenlohe jest sam myśliwym, na kozice dosyć dużo poluje i ma dużo i dobrze zorganizowanej służby łowieckiej, dalej rewir jego jest od Zakopanego bardziej odległy i dlatego mniej przez nieproszonych gości nawiedzany. Jeżeli już kłusownicy idą na Węgry, to idą przedewszystkiem w górne części rewirów Szczerba i Podbańska, które są gorzej pilnowane, a przeważnie gospodarują na polskiej stronie, bo tu kozice są najmniej pilnowane, co zresztą każdy zrozumie, bo kozica nie przedstawia dla żadnego z właścicieli, wartości, jako zwierzyna łowna, innej zwierzyny nad granicą drzewostanów prawie że niema, a więc niema tam czego pilnować.

Jak zaś trudno jest złapać kłusownika w Tatrach, to o tem tylko ci, którzy z tem mają wciąż do czynienia, mogą mieć pojęcie, i trzeba mieć znaczną ilość straży, aby módz się skutecznie przed kłusownictwem obronić. Właściciele rewirów tatrzańskich już i tak bardzo dużo robią, że wogóle kozic pilnują, i tak hr. Zamoyski, jak i p. Uznański, mają oprócz dbałości o tę ozdobę Tatr, to na względzie, że ustawa o tak zwanej bezwzględnej ochronie kozic zostanie zniesioną i mieliby całkiem słusznie, gdyby nie mając prawa polowania na kozice, wcale ich nie pilnowali. Jak kozica będzie u nas zwierzyną łowną, to jej inaczej będą pilnowali i karmili przez zimę.

Zgadzam się z zapatrywaniem, że kozica jest zwierzyną płochą i stara się unikać bliskości utartych szlaków, zwiedzanych przez turystów, jednak i na węgierskiej stronie turyści chodzą i tylko jeden Hohenlohe robi w zwierzyńcu trudności, a mimo to kozice są. Krzyku się kozica mało boi i mogą sobie juhasy hukać, ile chcą, i śpiewać, to kozic nie wypłoszą, byle nie mieli w pniach drzew ukrytych strzelb i nie polowali na kozy. Bydło i owce odbierają kozicom pożywienie, pozostanie jednak jeszcze dosyć miejsc niedostępnych, gdzie kozicom trawy wygryźć nie mogą. Że kozice bardziej się trzymają i trzymać będą na węgierskiej stronie, to jest całkiem słuszne zapatrywanie. Przyczyną tego jest bujniejszy porost traw, mniej bydła, a przedewszystkiem położenie południowe.

Lecz wracam do tego, co najbardziej razi w korespondencyi, to jest, do tej fatalnej liczby 6 kozic w całych Tatrach na naszej stronie. Jak już wspominałem, zależało mi bardzo na pewnem obliczeniu ilości kozic i przy pomocy właścicieli i zarządów, oraz straży dóbr Zakopane i Poronin, obliczyliśmy ilość kozic w zimie 1904. Że wybraliśmy zimę, to tylko dlatego, że przedewszystkiem jedynie w zimie można dokładniej podzielić kozice na polskie i węgierskie, bo schodzą na dół, podczas kiedy wszystkie, które w lecie trzymają się granicznych wierzchów, przechodzą wciąż, zależnie od wiatru i paszy, z polskiej na węgierską stronę i nie można ich dokładniej oznaczyć. Dalej w zimie kozice bardzo dobrze można policzyć, bo je daleko widać. Że rachuję w zimie, to tylko na naszą niekorzyść wypada, bo więcej kozic schodzi na węgierską stronę, niż na naszą, tam prędzej śnieg ginie i więcej paszy mają.

Od zachodu na wschód licząc, jest absolutnie pewna minimalna ilość, za którą wszelką gwarancyę przyjmujemy.

Rohacze	15
Tomanowa	20
Kraków	50
Giewant i Mała Łąka	30
Strążyska	20
Kasprowa	30
Koryzne i Pańszczyca	50
Wołoszyn	40
Czuba i Miedziane	20
Żabie i Morskie oko	20
Razem	305,

czyli nie mniej, jak 50 razy tyle, co miało być, według zdania korespondenta.

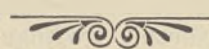
A teraz co do głuszców, tych nie liczyłem i możnaby to dopiero teraz na tokowiskach zrobić. Odpowiem tylko, że na jednem tylko tokowisku Szuwarowe, między Kościeliskami i Małą Lalką strzela się rok rocznie około pięciu głuszców, ja sam zabiłem na tem jednem tokowisku już 3, a dopiero 26-go kwietnia 1904—ostatniego. Przyjechałem na jedną noc, 25-go wieczór. Jednego głuszca spłoszyłem wieczór na zapadzie, jednego rano spudłowałem, a jednego zabiłem (głuszce strzelam tylko kulą), to, zdaje mi się, wystarczająca odpowiedź na „rzadkość“.

Ważniejsze tokowiska głuszców w Tatrach są w Witowie, Kulowcu, Kominach, Jaworzynie, Kościeliskach, Szuwarowem, Łysonkach, Grzybowcu i Ornaku w Poronińskiem, Pańszczycy, Palenicy, Kopach, Kondratowej, Ostrym Wierchu w rewirze Zaradnia, Czuba. Oprócz tego są jeszcze koło każdego z tych główniejszych tokowisk, tokowiska boczne, których w tym rachunku wcale nie wymieniam.

Dla oryginalności przytoczę tu zdanie niejakiego Schwaba, który był starszym gajowym w Kościeliskach i napisał w korespondencyi, zamieszczonej w „Waidmannsheil“, że w Kościeliskach jest głuszców jak wron, a tu znowu czytam, że głuszec należy do rzadkości.

Przepraszam najmocniej naszego J. W. wiceprezesa, że muszę się sprzeciwić jego zdaniu, ale mam nadzieję, że, jako prawdziwy myśliwy, nie weźmie mi tego za złe, że staję w obronie prawdy i słusznej sprawy, tembardziej, że jako delegat nowotarski, jestem obowiązany dać odpowiedź.

Dr. Jan Zdun.



Kłusownictwo we Francyi.

Kraj nasz, jakkolwiek nie jest wolny od plagi kłusownictwa, uważać jeszcze można za prawdziwie szczęśliwy w porównaniu z zachodem, gdzie wszelkiego rodzaju złodzieje i rabusie zwierzyny, doprowadzili swą sztukę do możliwej doskonałości. Nasz kłusownik należy przeważnie do kategoryi tych „poczciwych“ złoczyńców, co to ze strzelbą w ręku, często pchany raczej żądzą polowania, niż chęcią zysku, porywa się nocną lub nawet dzienną porą na cudzą zwierzynę. Wnykarze i sieciarze należą jeszcze u nas (chwała-ć Ci, Panie!) do rzadkości, bo sztuka wnykarstwa i sieciarstwa jeszcze się u nas nie rozwinęła, a i warunki terenu może nie są tak sprzyjające tej gałęzi kłusownictwa, jak w krajach zachodniej Europy, gdzie, pomimo znacznie wyższych, aniżeli u nas, kar, ten rodzaj złodziejstwa praktykuje się wszechstronnie.

Pisaliśmy już niejednokrotnie o kłusownictwie we Francyi, tym prawdziwym uniwersytecie brakonierów; lecz oto wpadło nam obecnie do rąk dzieło znanego hodowcy i pisarza, p. Ludwika Testard'a, p. t. „Traité pratique de la Chasse et du Gibier“, w którem znajdujemy dość kompletny obraz kłusownictwa we Francyi, mogący zaciekawić niejednego z naszych czytelników.

Obok drapieżników czworonożnych i pierzastych — mówi p. Testard —, główną przyczyną znikania zwierzyny w naszych lasach i na naszych polach są niewątpliwie rozmaite przyrządy kłusownicze.

Du Cange, który żył pomiędzy 1610 i 1688 rokiem, mówi, że w dawnych czasach wyraz „braconna-

ge" miał zupełnie inne znaczenie i oznaczał pewien przywilej możnowładców na córkach swych podwładnych.

W późniejszych czasach znaczenie tego wyrazu zmieniło się i „braconnierem" nazywano psiarka, przeznaczonego do prowadzenia braków (*braques* — rodzaj psów legawych francuskich).

Dzisiaj, według Littré'go, są trzy rodzaje brakonierów: 1° ten, który łowi lub zabija pokryjomu zwierzynę na cudzych gruntach; 2° ten, który skrycie prowadzi niedozwolone miłostki; 3° myśliwy, który, jakkolwiek posiada pozwolenie na broń, nie oszczędza zwierzyny i zabija wszystko, co może. Littré nie sądzi myśliwego z posiadania lub nie, biletu na prawo polowania, lecz ze sposobu, w jaki on myślistwo traktuje. Pozostawię na stronie te trzy kategorye, rozróżnione przez naszego filozofa, a zajmę się jedynie tymi kłusownikami, których czyny dają się podciągnąć pod artykuły: 11, 12, 13 i 14 prawa z 1844 roku, a szczególniej sieciarzami i wnykarzami.

Platon był pierwszym prawodawcą, który zwalczał kłusownictwo. Życzeniem jego było, „aby nikt nie tolerował nocnych myśliwych, którzy oddają się zakładaniu sieci i wnyków".

Oppien radzi myśliwym, „aby nawet na własnych gruntach nie zastawiali wnyków".

Rozporządzenia z lat: 1299, 1318 i 1386, zwalczały kłusownictwo i nakazywały „palić w dni targowe wobec ludu wszelkie sieci na króliki i zające". Rozporządzenia te zabraniały sprzedawania wszelkiego rodzaju sieci, wnyków i wabików, używanych do łowienia zwierzyny. Według nich, nie wolno też było używać szałasów przenośnych, krzaków i żywopłotów sztucznych, skóry krów, łapek i wszelkiego rodzaju samotrzasków.

Walter Scott w następujący sposób charakteryzuje kłusownika. „Praca przygotowawcza rabusia jest skończona, zanim słońce pochyli się ku zachodowi. Tam to, w kącie swej chaty, trzyma proch, zdobyty przez kontrabandę, i ołów, który skradł z dachu kościoła. Z drugiej strony ukryta jest zwierzyna, która oczekuje tylko na wózek przekupnia drobiu. W cieniu pod liśćmi, chowa swe przyrządy łowieckie".

Najsławniejszym, ze znanych kłusowników, był głośny Labruyère, autor „Wybiegów kłusownika", wydanych w Paryżu w 1770 r. Labruyere przez długie lata pustoszył polowania królewskie i książęce z nieporównanym talentem, unikając zawsze pogoni strażników. Lecz „dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie", więc i nasz kłusownik został nareszcie schwytany *in flagranti* i odstawiony do więzienia, gdzie przyobiecano mu ułaskawienie, jeśli tylko zgodzi się ujawnić wszelkie sposoby i wybiegi kłusowników. Wówczas to napisał wspomniane powyżej dzieło i został mianowany strażnikiem polowań hr. de Clermont, księcia krwi królewskiej. Zrozumiano wtedy, że dla skutecznej walki z kłusownictwem, należy doskonale poznać całą taktykę i wybiegi raubszyców. Zachęcono kłusowników do ujawniania wszelkich sposobów, jakich używają do wzięcia zwierzyny i wyprowadzenia w pole strażników, aby następnie módz skutecznie przeciwdziałać ich wybiegom. Tym sposobem stosowano odpowiednio lekarstwo na chorobę, przedsiębiorąc właściwe środki na strategię złoczyńców.

Nie należy mieszać kłusownika, polującego ze strzelbą, z sieciarzami i wnykarzami, którzy bardzo często są niebezpiecznymi zbrodniarzami.

(*C. d. n.*).

NOWE TERMINY

ochrony zwierzyny w Prusiech.

Sejm pruski uchwalił na ostatniej sesyi nowe prawo ochrony zwierzyny, które zostało potem ogłoszone w czasopiśmie urzędowem i będzie już obowiązywało podczas najbliższego sezonu myśliwskiego. Dla myśliwego ma oczywiście ważne znaczenie zapoznanie się ze zmianami terminów ochrony, spowodowanemi przez nowe prawo, i to nietylko poddani pruscy tem się interesować winni; tembardziej, że zmiany te dosyć rozległe i poważne, a dążą wogóle do znacznego przedłużenia czasu ochrony.

Podana obok tabliczka daje jasny obraz stanu rzeczy, jaki wytwarza nowe prawo w porównaniu z dawniej obowiązującemi przepisami.

	Sty	Luty	Mar	Kwie	Maj	Czer	Lip	Sier	Wrze	Paź	Lis	Gru
1. Łosie—byki.	■	■	■	■	■	■	■	■		■	■	■
2. Łosie—klępy i cielęta.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
3. Jelenie i daniele, byki.			■	■	■	■	■	▒				
4. Jelenie i daniele, łanie i cielęta.		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
5. Sarny—rogacze.	▒	▒	■	■	▒							
6. Sarny—kozy.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		▒
7. Sarny—cielęta.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▨	▒
8. Borsuki (jaźwce).	■	■	■	■	■	■	■	■	▨			▒
9. Bobry.	■	■	■	■	■	■	■	■	■			■
10. Zające.	▒	■	■	■	■	■	■	■	▒			
11. Głuszce—koguty.						■	■	■	▒	▒	▒	
12. Głusze.		■	■	■	■	■	■	■	▒	▒	▒	
13. Cietrzewie i bażanty, koguty.						■	■	■	▒			
14. Jarząbki—koguty.		▨	▨	▨	▨	■	■	■	▒			
15. Cietrzewie, jarząbki i bażanty, kury.		■	■	■	■	■	■	■	▒			
16. Kuropatwy, szkockie kury bagniste.	■	■	■	■	■	■	■	■				■
17. Przepiórki.	▒	■	■	■	■	■	■	■				▒
18. Dzikie kaczki.			▒	■	■	■						
19. Bekasy.				▒	■	■						
20. Dropie.				▒	■	■	▒	▒	▒			
21. Dzikie łabędzie, żórawie, siewki, derkacze i wszelkie inne łowne ptaki błotne i wodne z wyjątkiem dzikich gęsi.					■	■						
22. Drozdy (kwiczoły).	▒	▒	▒	▒	▒	▒	▒	▒	▒			

■ Zatrzymany czas ochrony. ▒ Nowowprowadzony czas ochrony. ▨ Zniesiony czas ochrony.

Tępienie tygrysów w Korei.

O tygrysach w Korei zamieściliśmy niedawno parę szczegółów drobnych; obecnie dajemy opis walki z temi zwierzętami, zaczerpnięty z większej, poważnej pracy W. Sieroszewskiego p. t. „Klucz Wschodu". Zapoznając nas z całokształtem Korei, pisze między innemi.

Dla walki ze szczególnie dokuczliwemi tygrysami, rząd organizuje zbiorowe obławy, które zresztą nigdy się nie udają, bo są bardziej jeszcze nienawidzone przez mieszkańców, niż napady tygrysów, gdyż służą jedynie za źródło wyzysku i nadużyć miejscowych urzędników. Wolą Korejczycy sami urządzać potrzaski, kopać doły na tropach tygrysich, wreszcie w kilku z dzidami i krzemiennemi flintami wychodzić na ciężki bój. Istnieje w Korei całe, obszerne stowarzyszenie myśliwców tygrysich, coś w rodzaju kasty powszechnej i zjednoczonej w całym kraju, posiadającej własnych, obieralnych zwierzchników, kasę, własne bóstwa, gusła, zabobony i tajemnice. Do nich zwraca się ludność z prośbą o obronę od potworów i oni są słusznie szanowani, jak sam święty Jerzy. Cieszą się nawet wpływem politycznym i w wojnach odgrywają rolę śmiałych i zapalczywych żołnierzy. Rząd wzywał ich nieraz w ciężkich chwilach i służyli mu wiernie, choć są przezeń uciskani na równi z resztą ludu. Francuzów, podczas najazdu na półwysep w 1866 roku, i Amerykanów w 1871, wprawiła w zdumienie zapamiętała waleczność tych, w skóry odzianych obrońców ojczyzny.

Zima jest ulubioną przez Korejczyków porą do polowania na tygrysy. W tym celu grono myśliwców, uzbrojonych w dzidy i rusznice, puszcza się w pościg, upatrzywszy dzień, gdy na głębokich śniegach narosła na tyle już śreń, że utrzymać może myśliwca na łyżwach, a zwierz jeszcze się załamuje. Wyśledziwszy tygrysa, gonią go po śnieżnym tropie, wywabiają na grzązkie zadmy i, gdy uwięźnie zziajany, wściekły, a bezsilny, kłują go oszczepem. Biada jednak, jeśli zwierz w pościgu trafi na miejsce płytsze lub twardsze i ze ściganego zmieni się w napastnika. Płaczą znowu wówczas we wsiach osierocone niewiasty korejskie.

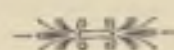
Niedarmo myśliwcy, idąc na tygrysa, jedzą kości, mięso i serce nieprzyjaciela, aby dorównać mu w odwadze!

Bardziej jednak, nad polowanie doręczne, rozpowszechnione są wśród Korejczyków rozmaite tygrysie pułapki, choć przebiegły zwierz nie zawsze daje się w nie zwabić. Znane są powszechnie chińskie sidła w kształcie wąziutkiego korytarza kolistego, utworzonego z dwóch koncentrycznych ogrodzeń z wysokich pali. Do środkowego, całkiem zwartego, wsadzają psa albo prosię, które wyciem lub kwikiem zwabia tygrysa; zewnętrzne ogrodzenie ma wązkie drzwiczki, otwierające się do wnętrza.

Tygrys, wszedłszy do korytarzyka i szukając wyjącej ze strachu ofiary, krąży gorączkowo wokoło i mijając drzwi, zamyka je sobą za każdym razem, nie mogąc dla ciasnoty obrócić się, aby wyskoczyć na zewnątrz, nie domyślając się spiąć na łapy i górą przekręcić. Nad ranem przybywają myśliwcy i zabijają go z łatwością oszczepem przez szparę w ogrodzeniu.

— Ale my polujemy na nie tylko pół roku, drugie pół roku one polują na nas! — powtarzają Koreyczycy naiwnie. Sądzę jednak, że polowanie Koreyczyków trwa o wiele krócej i że tygrysom, zarówno jak i innym dwu i czworonogim drapieżnikom, powodzi się w Korei wcale nieźle.

Bezpiecznie podróżować można wszędzie w tym kraju jedynie w miesiącach grudniu i styczniu, podczas rui tygrysiej, kiedy zapamiętałe samce upędzają się za samkami i biją wściekle między sobą, a rozromansowane samki nie myślą wcale o jadle. Za to zaraz potem, a szczególniej w kwietniu i maju, kiedy się kocą, zaczynają dokuczać ludności mocniej lub słabiej, zależnie od roku, stanu pogody i obfitości zwierzyny w okolicy. Gniazda zakładają zwykle w szczelinach skał i pieczarach na południowych stokach, w miejscach zacisznych, gdzie ciepło słoneczne ogrzewa nowo narodzone kocięta i nic ich nie płoszy.



Polowanie na lwy śród Hererów.

W niemieckiej Afryce wschodniej, gdzie obecnie odbywa się krwawa walka z Hererami, zdarzają się często polowania na lwy, z naganką. Jedno z nich opisuje gazeta afrykańska następującemi słowami:

Z nastaniem pory deszczowej w Afryce, lwy osiedliły się w znacznej liczbie w okręgu Mohorro. W pierwszych dniach pory deszczowej słyszało się po nocach ze wszystkich stron Mohorro ryki lwów, i to niekiedy tak zblizka, że nie można było spać spokojnie. Autor zapewnia, że podobny koncert z dwóch głosów, jednego — basa głębokiego, starego, i tenora — młodszego, często przerażały go we śnie, przerywając nielitościwie najsłodsze marzenia senne.

Ponieważ w czasie deszczów można wygodnie śledzić kroki większych drapieżników, przeto krajowcy, na rozkaz władzy wyższej, urządzają wtedy polowania z naganką na te zwierzęta. Gdy więc w nocy, w pobliżu jakiej wsi lub domostwa, lew napadnie człowieka lub porwie bydlę, to zaczyna się stanowcze przeszukiwanie śladów aż do zarośli, w których zwierzę się ukrywa.

Bęben „goma" zwołuje z najdalszych okolic wszystkie gminy „jumby" do pomocy, poczem zaczyna się obława. Czarni „strzelcy" włażą na drzewa w rozmaitych miejscach, a ludzie, uzbrojeni tylko w oszczepy, przebiegają z wielkim krzykiem zarośla. Takie polowania z naganką osiągają prawie zawsze skutek pożądany.

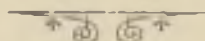
Ostatnie polowanie takie odbyło się niedawno w Mohorro. Sądząc po śladach, miało się do czynienia z dwoma silnemi lwami, które były ukryte w gąszczu o jakie 4 kilometry od Mohorro. Naczelnik okręgu, p. Grass, dał znać krajowcom, że sam będzie brał udział w polowaniu na lwy pod Mohorro. Urządzono więc nagankę odpowiednią i p. naczelnik udał się rychło na miejsce. Obława, swoim zwyczajem, zabrała się odrazu do roboty. Jednego ze lwów krajowcy odrazu ubili. Drugi jednak w oddaleniu 40 metrów od p. Grassa przerwał łańcuch ochronny w gęstych zaroślach, ale został postrzelony lekko przez jednego z czarnych strzelców. Naczelnik, w towarzystwie 30-tu osób, podążył w ślady uchodzącego lwa, który po drodze zostawiał farbę oddzielnemi kroplami.

Prowadziła ona do jasnego gąszcza, łatwego do przeglądania. Nagle jednak ludzie, którzy razem szukali śladów farby, krzyknęli przerażeni. Dał się słyszeć mocny ryk warczący. Wnet ujrzeli lwa na jakie 50 metrów od siebie, który nawpół zwrócony ku swym prześladowcom, z wysoko podniesionym ogonem i szeroko rozdziawioną paszczęką, umiarkowanym kłusem łuk zataczał, chcąc znowu się dostać do gęstszych zarośli.

Nastąpiła teraz chwila, zarówno wzruszająca i niebezpieczna, jak i wspaniała. Zwierzę zwróciło się do swych prześladowców, którzy stali niedaleko, przypatrując mu się. Potem skierował się ku p. Grassowi, stojącemu przed naganką, gdyż potknął się o gałąź przed chwilą. Lew, kilku susami, znalazł się w pobliżu naczelnika. Zmuszony był jednak zatrzymać się

z powodu hałasu i strzelaniny krajowców. Wszakże szeregi obławników, otaczających p. Grassa, wskutek natarcia drapieżnika, rozluźniły się i poszły prawie w rozsypkę. Na szczęście zdążył p. G., we właściwej chwili wsadzić kulę w paszczękę lwa, gotującego się do ostatniego skoku.

Lew stracił odwagę. Odwrócił się bokiem i cofnął na jakie 30 metrów, potem skręcił głowę w stronę swych prześladowców, jakby chcąc teraz, pełen rezygnacyi, poddać się heroicznie przemagającej liczbie wroga. I raz jeszcze lew się odwrócił, lecz już sił pozbawiony. Przysiadł następnie na ziemi, opierając się, jak pies, na tylnych łapach. W chwili, gdy zdawało się, że padnie, jeden z krajowców przypadł do niego z oszczepem, prześwidrował go, przymocowując niejako do miękkiej ziemi.



Próby polowe wyżłów.

O ile zauważyć było można w ciągu ostatnich lat znaczny postęp w braniu udziału naszych hodowców w wystawach psów, o tyle konkursy wyżłów, urządzane staraniem Warszawskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, nie cieszą się dotychczas wielkiem powodzeniem, aczkolwiek zaprowadzone one zostały od lat dziesiątka, a suma nagród, wyznaczanych na nie, dochodzi 370 rubli. Już od lat kilku powtarzają się stale tylko nazwiska trzech właścicieli psów, którzy produkują swoje elewy na próbach polowych, a czasami przyłącza się do nich jaki nieznany hodowca z pojedyńczym okazem. Nie wiemy, czemu przypisać to uchylanie się od jedynych konkursów w kraju naszym, gdzie polowanie z wyżłem, jak dotychczas, jest powszechnie uprawianem. Przypuszczać jednak możemy, że dla niejednego wysokość nagród nie jest dostateczną, a koszty przejazdu znaczne; innych znów (i tych liczba musi być największa) powstrzymuje od brania udziału obawa, że wychowanek próby nie wytrzyma i cała podróż, wraz z kosztami, pójdzie na marne. Trzeba bowiem wiedzieć, że w kraju naszym ilość wyżłów dobrych, tak zwanych „roboczych", jest dość znaczna; ale psów, ułożonych „konkursowo", niema prawie zupełnie. Bardzo często zdarzało mi się widzieć legawce z wielkiemi, polowemi zaletami, przy których właściciel mógł sprawiać rzezie kuropatw; ale tresura ich pozostawiała bardzo wiele do życzenia. A warunki naszych prób polowych wymagają, aby pies nie gonił zająca, rzucanie się zaś do zabitej kuropatwy pozbawia bezwarunkowo psa możności zdobycia pierwszej nagrody.

Kwestya więc, w jaki sposób obudzić większe zainteresowanie w konkursach wyżłów pomiędzy właścicielami psów, jest niełatwą do rozstrzygnięcia, bo z jednej strony niepodobna jest obniżyć stopnia surowości w sądzeniu, aby nie naruszyć samej powagi konkursów; a z drugiej Towarzystwo nasze prawdopodobnie uchyliłoby się od podwyższenia nagród wobec projektowanego przez Wydział hodowli psów, próbowania niezależnie psów angielskich o szerokich chodach *(à grande quête)* i psów niemieckich o krótkich chodach (*à petite quête*), co samo przez się zdwoi sumę nagród, wyznaczonych przez Towarzystwo.

Na razie więc nie należy spodziewać się postępu w szerszym udziale naszych myśliwych lub dreserów w konkursach polowych, a nastąpi to dopiero z czasem, gdy ogół nemrodów naszych zrozumie, że stokroć korzystniej jest polować z psem rasowym, doskonale ułożonym, aniżeli z pokurczem, niewiadomego pochodzenia, który przy braku wrodzonych zalet polowych, nie posiada zwykle dostatecznej tresury.

Na tegoroczne próby dostarczono ogółem 10 psów, z których 5 zakwalifikowano, jako „psy starsze", a 5—jako „psy w pierwszem polu". Próby odbyły się na polach folwarku Służewiec, udzielonych grzecznie przez hr. Ksawerego Branickiego, oraz przez dzierżawcę folwarku, p. Karola Henneberga. Skład *jury* stanowili pp. Jan Sztoleman (jako przewodniczący), Stanisław Lilpop i Wacław Paszkowski. Nadto kilkanaście osób, przybyłych z Warszawy, śledziło z ciekawością przebieg konkursu.

Dzień wypadł piękny; zrana było trochę rosy, lecz ta szybko zniknęła pod działaniem lekkiego, wschodniego wiatru i wkrótce teren stał się suchym, jak pieprz, co niezmiernie utrudniało pracę próbowanych psów i ujemnie wpływało na rezultat konkursu. Prawdopodobnem jest, że przy wilgotniejszym stanie atmosfery niektóre psy otrzymałyby wyższe nagrody, od zdobytych; lecz sędziowie musieli się ściśle trzymać tego, co widzą, a nie tego, coby mogło być.

Ostatecznym wynikiem konkursu było, że pierwszej nagrody (100 rb. i żeton złoty) nie przyznano, a natomiast dano dwie drugie nagrody (po 75 rb. każda) dwóm psom znanego hodowcy, p. Oskara Saengera, a mianowicie: suce „Miss Maud"—setterce angielskiej (*blue-belton*) i „Wild-Sam'owi", również setterowi angielskiemu (*lever-belton*). Oba te psy, przy znakomitej tresurze, wykazały świetne chody i wybitny sposób szukania, oparty na systematycznem okładaniu łanu od jednego brzegu do drugiego; popełniły jednak po parę błędów, nie zawietrzywszy pod wiatr zwierzyny, co zresztą mogło mieć za przyczynę, jak to wyżej nadmieniłem, niezwykłą suchość terenu. W każdym razie p. Saengerowi powinszować można tak doskonałych psów, które przy wrodzonych zaletach polowych posiadają znakomitą tresurę. Jan Stańczyk, strzelec p. Saengera, układający oba psy, otrzymał 15 rb. nagrody z pieniędzy, przeznaczonych przez Towarzystwo dla dreserów.

Trzecia nagroda (50 rb.) dostała się w udziale gładkowłosemu wyżłowi niepewnego pochodzenia, „Trezorowi" p. Wiktora Szostaka. Jest to pies, zdradzający w sobie mieszaninę pointera z niemiecką rasą, silny, doskonale szukający, obdarzony dobrym wiatrem, ale tresurą swą ustępujący znacznie psom p. Saengera. Niemniej jednak sędziowie przyznali nagrodę w sumie 10 rubli dla strzelca p. Szostaka, Wincentego Krowickiego.

Wreszcie w dziale „psów w pierwszem polu" przyznano tylko pierwszą nagrodę (50 rb.) pointerowi „Neronowi" p. Oskara Saengera. Satysfakcya była patrzeć, jak ten uczeń sztuki polowej wytrawnie prowadził do kuropatw, jak doskonale i umiejętnie szukał. Można mu rokować, że w przyszłości zdobędzie pierwszą nagrodę w dziale psów starszych, gdyż jest to niewątpliwie najlepszy pies z próbowanych w ostatnich czasach.

Nadto sędziowie przyznali 10 rb. nagrody Andrzejewskiemu, strzelcowi p. Borzewskiego z Ugoszcza, za tresurę suki „Dyany" niewiadomego pochodzenia.

Konkurs rozpoczął się o godz. 8 rano, a skończył o 5-ej po południu.



Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 17 sierpnia. Wskutek zawiadomienia, nadesłanego przez jednego z Członków Towarzystwa o kłusownictwie w powiecie wieluńskim gub. kaliskiej, Rada postanowiła prosić naczelnika powiatu o odebranie biletów na broń, wskazanym w liście osobom.

Moskiewskie Towarzystwo prawidłowego myślistwa zawiadamia o wysłaniu żetonów dla najlepszych psów na tegorocznym konkursie wyżłów. Rada postanowiła przesłać podziękowanie, a jednocześnie zawiadomić Wydział hodowli psów o otrzymaniu tych nagród.

Postanowiono przesłać podziękowanie właścicielowi folwarku Służewiec, hr. Ksaweremu Branickiemu, oraz dzierżawcy tegoż folwarku, p. Karolowi Hennebergowi, za użyczenie terenów na próby polowe wyżłów.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

W początkach sierpnia r. b. w dobrach Wiktoryn p. Seweryna Doria-Dernałłowicza (mohylewskiej gub.) odbyła się wielka obława na wilki. Dzięki umiejętnemu zorganizowaniu, rezultat obławy był bardzo dobry. Zabito 2 stare i 5 młodych wilków, t. j. wybito całe prawie, znajdujące się w danej kniei, gniazdo wilków. Zaznaczyć należy, że staraniem administracyi dóbr, w celu jaknajwiększego tępienia wilków, są tu urządzane często takie obławy. I, jak mówią, wilków jest tu coraz mniej. Wpłynie to oczywiście dobrze na powiększenie zwierzostanu w lasach dóbr Wiktoryn, a i teraz już, jak zauważyliśmy, zwierzostan przedstawia się pokaźnie. Są tu łosie, sarny i głuszce. W czasie obławy widziano na linii strzelców sporo sarn oraz głuszców. Obecny na obławie syn właściciela dóbr, celnym strzałem w lot, zabił wspaniałego głuszca. *„Sylvan"*.

W d. 1 września r. b. odbyło się polowanie na jelenie i dziki w lasach Chojnowskich pod Piasecznem, należących do hr. Ksawerego Branickiego. Padł 1 jeleń i 2 dziki. Jeleni widziano bardzo wiele, a w jednym miocie wyszło na myśliwych stado, złożone z 9 byków i 1 łani.

Drobiazgi myśliwskie.

O zające. Dwie korespondencyjki: z Kaliskiego w „Słowie" i z Brześcia Kujawskiego w „Gazecie Polskiej", ostrzegają słusznie myśliwych, ażeby jeszcze nie polowali na zające. Do „Słowa" piszą między innemi: „w interesie i naszego, lichego wogóle zwierzostanu, i samych myśliwych, radzę na zające nie polować conajmniej do połowy września; ile samic kotnych uniknie przez to śmierci, ile zajęcy będzie więcej!"

Na wilki. Do „Kuryera Polskiego" piszą, że w gub. wileńskiej odbyły się dwie większe obławy na wilki, które i obecnie szkodzą, porywając źrebaki i cielęta. Pierwsza obława w pobliżu stacyi Gudogaj nie miała powodzenia. O drugiej obławie, która odbyć się miała pod miastem Szyrwintami, jeszcze niewiadomo.

Zwierzostany na Żmudzi. Hr. Aleksander Iliński-Kaszowski komunikuje nam łaskawie, że letnia kampania na ptactwo w gubernii kowieńskiej słabo dopisała, gdyż wiele ptaków wskutek *nieustających deszczów* wyginęło. Kuropatw zdaje się być więcej, niż roku zeszłego.

Kradzieże psów. Myśliwi warszawscy oraz miłośnicy psów rasowych wogóle, jak donoszą gazety miejscowe, uskarżają się obecnie na coraz częstsze fakty kradzieży tych zwierząt. Giną nietylko psy młode, ale i kilkoletnie, których o zbłądzenie lub ucieczkę podejrzewać niepodobna. Mówią, że w Warszawie istnieje przedsiębiorstwo, którego agenci usypiają psy, przywabione rozmaitemi sposobami. Do usypiania używają jakichś środków, nikomu nieznanych. Wywożą potem psy w stanie bezwładnym na sprzedaż do Cesarstwa. Legendę tę powtarzamy na odpowiedzialność gazet warszawskich.

Akwarela myśliwska. W salonie artystycznym przy Nowym Świecie w Warszawie, wystawiono świeżo akwarelę „Na polowaniu" znanego malarza-humorysty, Franciszka Kostrzewskiego.

Konserwowanie ptaków i ssaków. Podczas wypraw na polowanie niema się najczęściej czasu lub nie umie się preparować ssaków i ptaków. Bardzo dogodny sposób czasowego zachowania zabitych zwierząt podaje „Przyroda". Do 200 części gliceryny wrzuca się jedną część kamfory. Wprawdzie niewielka ilość tej substancyi rozpuszcza się, nadmiar jednak jest niezbędny, ponieważ kamfora łatwo się ulatnia. Zabitemu zwierzęciu rozcina się brzuch, wyrzuca kiszki, zwilża sierść lub pióra wodą i wyżęte, wkłada się do opisanej mieszaniny. Po 5 do 7 dniach należy zwierzę wyjąć i gdy nadmiar cieczy ścieknie, zawinąć w papier woskowy. W takim stanie mogą leżeć zwierzęta więcej niż 2 miesiące. Gdy następnie pragniemy zwierzę wypchać, płucze się je w zimnej wodzie, suszy i wreszcie preparuje, jak świeżo zabite.

Wadliwość kodeksu karnego w Szwajcaryi. Pewien młody człowiek w okolicy Bülach w Szwajcaryi, wystawił na sprzedaż psa myśliwskiego. Zjawiło się na to kilku amatorów, stawiając jednak za warunek, że przed kupnem muszą w polu psa wypróbować. Właściciel zgodził się na to i pewnego ranka stawił się wraz z psem u nabywców, oznajmiając, że pójdzie razem z nimi, aby zobaczyć, jak jego elew sprawować się będzie. Wyszedł więc razem z nimi, nie wziąwszy z sobą ani strzelby, ani żadnego z przyborów myśliwskich. Znalazł się jednak ktoś usłużny, który go zadenuncyował przed prefektem, jako polującego bez pozwolenia, a na zasadzie tego prefektura skazała go na 80 fr kary. Młodzieniec zażądał, aby sprawa oddaną została pod rozpatrzenie trybunału, i jego woli stało się zadość. Trybunał okręgu Bülach po rozpoznaniu sprawy orzekł, że prefektura fałszywie zastosowała w tym wypadku artykuł prawa, gdyż podsądny sam nie polował, lecz jednocześnie zastosował doń inny artykuł, skazujący go na 40 fr. kary za to, że pozwolił swemu psu polować.

Podsądny nie dał za wygraną i zaapelował do trybunału apelacyjnego, motywując swą skargę tem, że prawo nie zabrania bynajmniej wypożyczać psa osobie, mającej pozwolenie na prawo polowania. Zarówno prokurator, jak i trybunał, przyznali słuszność tej tezy, orzekając, że trybunał w Bulach popełnił zasadniczy błąd, lecz jednocześnie wyjaśnili, że błędu tego naprawić niepodobna, gdyż niema apelacyi od spraw, w której kara jest mniejszą, niż 50 fr. Tak więc nieszczęsny właściciel psa, jakkolwiek nie popełnił żadnego występku, musiał zapłacić karę i koszty sądowe.

Z Francyi. Niedawno odbyło się otwarcie polowania we Francyi, obchodzone bardzo uroczyście i urzędowo w lasach Rambouillet przez samego prezydenta. Loubet jest namiętnym myśliwym, podobnie jak jego poprzednicy. Tylko Thiers nie był miłośnikiem łowów. Natomiast marszałek Mac Mahon był zaciekłym myśliwym, posiadał wspaniałą psiarnię i całą setkę strzelców oraz dojeżdżaczy. Lubił najbardziej polowanie *par force*; używał tej przyjemności nietylko w lasach Rambouillet i Fontainebleau oraz w swoich własnych La Foret, lecz nadto kupił w tym celu piękny las w Styryi. Grévy wolał jadać bażanty, kuropatwy i sarny, niż do nich strzelać. Carnot odbywał polowania tak uroczyście, jak odsłaniał pomniki i przyjmował gości. Casimir-Perier nie miał czasu na łowy, bo zakrótko był prezydentem. Feliks Faure na polowaniach, tak samo, jak wszędzie, lubił otaczać się przepychem i paradą, a przywdziewał iście operetkowy strój myśliwski. Był znakomitym myśliwym, ale większym jeszcze dziwakiem i polując w towarzystwie głów ukoronowanych, nigdy nie trafiał zwierzy-

ny, pozwalając sobie na celne strzały tylko wobec posłów, dyplomatów i generałów.

Powrót gołębia. Wiadomo, że gołąb wraca zawsze do swego gołębnika. Nowym dowodem tego ich „zmysłu ojczyzny" jest fakt następujący: Podczas wyścigów gołębich w r. 1902 w Rzymie, spostrzeżono brak jednego gołębia, którego narazie nie odszukano; obecnie, a więc po dwóch latach, gołąb powrócił do ojczystego gołębnika w Hervé w Belgii.

Wilk powieszony. Jak zaznaczają stare kroniki, w r. 1685 został zabity wilk w pobliżu niemieckiego miasta Ansbach. Śród ludu rozeszła się pogłoska, że drapieżnik ten, który wyrządził mnóstwo szkód mieszkańcom okolicznym, jest metamorfozą pewnego czarownika, niedawno tamże zmarłego. Wskutek tego skazano wilka na powieszenie. Ubrano go w tym celu w strój ludzki, na głowę nałożono perukę, a na pysk maskę, przypominającą czarownika, i w tym stroju dokonano egzekucyi na szubienicy miejskiej.

Walka z niedźwiedziem. W parku, położonym na wybrzeżu Kielu w Niemczech i służącym zarazem jako miejsce wypoczynku dla tamtejszych mieszkańców, znajduje się między innemi budynek, należący do poskramiacza niedźwiedzi. Niedawno rozegrała się tam zacięta walka między jednym z największych niedźwiedzi a robotnikiem, który wskutek nieostrożnego obchodzenia się z klatką podczas jej oczyszczania, wypuścił niedźwiedzia na wolność. Rozjuszone zwierzę rzuciło się na robotnika, powaliło go na ziemię i zmiażdżyło mu lewe ramię. Dopiero, dzięki przytomności umysłu dozorcy parku, udało się ocalić robotnika. Dozorca uzbrojony w kij żelazny i rewolwer, w mgnieniu oka powalił niedźwiedzia na ziemię i 6 wystrzałami położył go trupem.

Pogrzeby psów. Przytułki dla psów i innych zwierząt oddawna nie są nowością, a stolica Francyi stworzyła nawet pierwszy cmentarz dla psów. New-York zaś może się poszczycić, że wprowadził u siebie przed wszystkiemi innemi miastami — psie pogrzeby, odbywane z ogromną wspaniałością i urozmaiceniem. Pomysłowy przedsiębiorca założył zakład, na którym odrazu zaczął robić majątek. Łatwo to pojąć, gdy się przejrzy rachunek pogrzebu, wystawiony pewnej damie, która utraciła nagle psa, wiernego jej przez lat 15. Zabalsamowanie kosztowało 100 dolarów, trumna srebrzysto-złocona 200, kiry 200, karawan i karawaniarze 300, kwiaty 100 i t. d., razem około 1,000 dolarów. Strażacy znowu, należący do 125 oddziału straży ogniowej w Nowym Jorku, wznieśli nagrobek swemu ulubionemu foxterrierowi, „Spotowi", którego przejechał wóz strażacki, pędzący do pożaru. „Spot" mieszkał stale w budynku, gdzie stała maszyna parowa oddziału. Jak tylko rozległ się dzwon alarmowy, pojętny pies stawał przy koniach i pędził obok maszyny. Okazywał wielkie zajęcie akcyą ratunkową, to też nagrobek jego ma nosić napis: „Poległ przy spełnianiu obowiązku".

Pies za 10.000 rubli. Tyle zapłacił za psa w Londynie niedawno, znany miliarder amerykański, Jerzy Gould. Pies, wspaniały buldog, noszący imię „Heath Baronet", stanowił dotąd okaz reklamowy znanego, angielskiego hodowcy psów, Millsa w Uxbridge i w ostatnich latach zdobył pierwsze nagrody na 150 wystawach psów.

Cmentarz słoniów. Opowiadania kupców arabskich o cmentarzach słoniów poczytywano dotychczas za bajki. Okazuje się, że rzeczywistość najzupełniej potwierdza te legendy. Major Powell Cotton z Northumberlandu powrócił niedawno z czteroletniej podróży po Ugandzie i Wyższym Nilu i zapewnia, że widział na własne oczy taki cmentarz u podnóża gór, w bliskości całego szeregu źródeł. Słonie przychodzą tam, aby mieć śmierć spokojną. Na wybrzeżach jezior leży kilkaset ich białych szkieletów. Z tego to niewyczerpanego nekropolu tubylcy od wieków czerpią zapasy kości słoniowej. Major Cotton zapewnia, że widok tego cmentarza sprawia dziwnie silne wrażenie.

Broń japońska. Oficerowie armii japońskiej są zaopatrzeni w rewolwery wynalazku sztabskapitana China. Na odległość 300 do 400 metrów rewolwer bije silniej od karabinu i kartaczownicy. Muszka jest obliczona na 500 metrów, ale kule niosą na tysiąc metrów. Rewolwer waży 700 do 750 gramów i posiada w magazynie 10 kul. Na minutę można wypuścić 120 kul.

Zając a baba. — O la Boga, Wojtek, będzie ze mną nieszczęście, bo mi zając drogę przeleciał!

— E, nie bajta, matulu, — gorzej będzie zającowi, bo mu baba drogę przelazła!

* * *

Ogłoszenie. „Trezorek" był nieznośny. Wreszcie przepadł, ale właścicielka jego domaga się od męża ogłoszenia o tem w gazetach. Wreszcie zjawia się ono, tej treści:

„Zginął obrzydliwy pinczer, ślepy na jedno oko i bez ogona; za tłusty, żeby mógł biegać. Dwadzieścia rb. nagrody temu, kto go przyniesie—wypchanego".

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Brytan.

1. Lepsza sprawa z brysiem, niż z kurdysiem (kurtą).
2. Nie jednemu psu bryś.
3. Chłop głupi między dworzany, jako wilk między brytany.
4. Gdzie jedna kość, a dwa brytany, tam pokój nieznany.
5. Więcej dogryzie psiarnia kundlów, niż jeden brytan.
6. Jak psy pokojowe zaszczekają, to się i brytany zrywają.

Byk.

1. Byk w oborze, deszcz na dworze.
2. Łapaj byki, póki czas.
3. Czyj byczek, tego byczek, byle nasze cielątko.
4. Czyj byk, to byk, byle w domu ryk.
5. Ten śmiały, kto ujmie byka za rogi.
6. Wydój byka, da ci mleka.
7. Wziąć byka za rogi (odrazu przystąpić do rzeczy).
8. Za byczka będzie cieliczka.
9. Zrobić z byka barana.
10. Chłop bogaty, jak byk rogaty.
11. Goły, jak byk.
12. Handel byka na indyka.
13. Nie boi się byka jałowica.
14. Pożytek, jak z byka: ani łoju, ani mleka.
15. Za przemocą byki skocą (skaczą).
16. Rozgniewał się, jak byk.
17. Twój ryk, a mój byk.
18. Aniby tego na byczej skórze nie spisał.
19. Tłusty, jak byk.
20. Zdrowy, jak byk.
21. Czemuś się bysiu zasmucił? — Bo mi się żenić każą.

Cap.

1. Capem śmierdzi, kto capa głaszcze.
2. Głupi, jak cap.
3. Siedzi, jak cap.
4. Uparty, jak cap.
5. Śmierdzi, jak cap. (*C. d. n.*).

SPROSTOWANIE.

W artykule „Talyaz" p. Czernicjewskiego (NN. 7 i następne z roku bieżącego) mylnie zostało wydrukowane imię i nazwisko pana Kłossowskiego. Zamiast *Wacław Kłosowski* winno być *Czesław Kłossowski*.

Treść Nr. 18 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków, półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Сентября 1904 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.